





# Przygody Łowieckie

w krajach dziewiczych

H. G. Wells, J. V. Jensen,  
R. de Haas, E. Otto



INSTYTUT WYDAWNICZY „ZDRÓJ“, WARSZAWA

## TREŚĆ:

Wyspa Aepiornisa . . . . .	5
Monsum . . . . .	21
Tajemnica wód Ronga-Ronga .	31
W dziewiczych lasach Sumatry	43

# **Wyspa Aepiornisa**

**Dziwna przygoda poszukiwacza na wysepce  
w pobliżu Madagaskaru**

Napisał

**H. G. WELLS**

**Tłumaczył Paweł Laskowski**

Człowiek z bliznami na twarzy pochylił się nad stołem i oglądał swoje zawiniątko.

— Orchideje? — zapytał.

— Kilka — odpowiedziałem.

— Obuwik żółty? —

— Przeważnie — rzekłem.

— Coś nowego? Nie? Zaraz to sobie pomyślałem. Przeszukałem te wyspy przed dwudziestu pięciu, nie, przed dwudziestu siedmiu laty. Jeśli znajdzie się tam jeszcze coś nowego, to już musi to być całkiem nowe. Niewiele pozostawiłem do znalezienia dla innych poszukiwaczy.

— Ja nie jestem zbieraczem — rzekłem.

— Byłem wówczas jeszcze młody — mówił dalej. — Ale też się nawłoczyłem, bo nawłoczyłem! — Przyglądał mi się, jak gdyby chciał zmierzyć moją wysokość. — Dwa lata byłem w Indjach Wschodnich a siedem w Brazylii. Potem udałem się na Madagaskar.

— Kilku poszukiwaczy znam z imienia — rzekłem, przygotowując się do wysłuchania bardzo długiej historii. — Dla kogo pan robił poszukiwania?

— Dla Dawsonów. Czy spotkał się pan kiedykolwiek z imieniem Butcherów?

— Butcher? Butcher? — Imię to zdawało mi się coś przypominać i nie było mi zupełnie obcem, chociaż to, co się z niem łączyło było dziwnie mgliste. Ale nagle przypomniało mi się wszystko. Butcher contra Dawson. — Ach tak, do stu tysięcy kartaczy — zawołałem — przecież to pan procesował się z nimi o wynagrodzenie za cztery lata pracy..! To pan znajdował się na pustej wyspie..!

— Do usług — odrzekł ów człowiek z bliznami na twarzy i skłonił się. — Sprawa jest komiczna, nieprawdaż? Z jednej strony ja, który na wspomnianej wyspie bez wielkiego zachodu dorobiłem się niejakiego mienia, z drugiej strony towarzystwo, nie mające wprost możliwości zwolnienia mnie. Myśl o tem, podczas pobytu na samotnej wyspie, pobudzała mnie niejednokrotnie do śmiechu. Wystawiałem sobie za to długie rachunki

wypisywane w olbrzymich liczbach z ornamentami, i pokrywałem niemi całą wyspę od końca do końca.

— O co tam właśnie chodziło? — zagadnąłem. — Nie przypominam sobie wszystkiego dokładnie z tej całej sprawy.

— No, ale o wyspie Aepiornisów słyszał pan przecie.

— Coś niecoś. Przed miesiącem opowiadał mi Andrews o jakimś nowym gatunku ptaków, który właśnie poszukiwał. Opowiadał mi o tem krótko przed moim wyjazdem. Znalaziono, jak się zdaje, kość piszczelową długości łokcia. Ptak musiał być istnym olbrzymem.

— Wyobrażam sobie — odparł człowiek z bliznami. — To nie „musiał być”, ale był olbrzym wśród ptaków. Ptak Rok Syndbada był tylko skromną legendą w porównaniu z tym olbrzymim ptakiem. Kiedyż znalaziono owe kości?

— Zdaje się, że przed trzema, czy czterema laty. Dlaczego pan pyta?

— Dlatego, że to ja je znalazłem. Tak, tak, będzie temu ze dwadzieścia lat. Gdyby Dawsonowie nie byli się zachowali wówczas tak głupio z powodu należnej mi gaży, to mogli zarobić bardzo ładne pieniądze. Nie było to moją winą, że przekłeta łódź urwała się wtedy...

Zamilkł na chwilę—. Zdaje mi się, że to będzie to samo miejsce. Taki jakiś moczar czy bagnisko, mniej więcej jakieś dziewięćdziesiąt mil od Antananariwo. Czy zna pan przypadkiem to miejsce? Dopływa się tam wzdłuż wybrzeża łodzią. Nie przypomina pan sobie?

— Nie przypominam sobie. Ale zdaje mi się, że Andrews mówił kiedyś coś o jakim bagnie.

— To niezawodnie to samo. Na wschodnim wybrzeżu. A w wodzie jest tam coś takiego, co zabezpiecza rzeczy przed gniciem. Pachnie to „coś” niby kreozot. Przypominało mi to Trinidad. Czy znalazł pan także jajka? Niektóre z tych, jakie ja znalazłem, miały po półtorej stopy długości. Trzeba panu wiedzieć, że moczar ten zatacza krąg i odgradza właśnie to miejsce. Przeważnie słone wody. Ach tak, byłoż to życie... Rzeczy te znalazłem całkiem przypadkowo. Poszukiwaliśmy jaj — ja i dwóch krajowców, włócząc się po tych tam wertepach i wtedy natknęliśmy się na owe kości. Mieliśmy z sobą namiot i żywności na cztery dni. Na jednym z miejsc suchych rozbiliśmy namiot dla odpoczynku. Jeszcze dzisiaj gdy o tem wspomnę, czuję w nosie ów ostry zapach terpentynowy, jaki nas wtedy otaczał. To zgoła inny rodzaj roboty. Przeszukuje się grząskie błoto żelaznymi tykami. I zazwyczaj, trzeba panu wiedzieć, rozbija się przy tem poszukiwane jajka. Chciałbym wiedzieć jak dawno temu, kiedy to żyły owe Alpiornisy. Misjonarze zapewniają, że wśród krajowców istnieją jeszcze legendy



z czasów tych olbrzymich ptaków, ale ja sam nigdy takiej legendy nie słyszałem. Jedno wszakże jest zupełnie pewnem, że jaja które znaleźliśmy, były takie świeże, jakby zostały dopiero co zniesione. Zupełnie świeże. Podczas gdy przenosiliśmy je do łodzi jeden z krajowców upuścił jajko i stłukł je. Naturalnie, że wyklóciłem się za to z tym drabem, ale jajko smakowało właśnie tak, jakby zostało dopiero co zniesione. Powiadam panu, ani śladu jakiegoś złego zapachu, a tymczasem ptak, który je zniósł, istniał przed stuleciami. Murzyn, który stłukł owo jaje, zapewnił mnie, że został ukąszony przez jakiś owad. Ale wracajmy do naszego opowiadania. Otóż grzebaliśmy się przez cały dzień w tem grząskim błocie, zanim wygrzebaliśmy kilka całych jaj. Byliśmy zabłoceni od stóp do głów, a ja byłem w usposobieniu jak najgorszem. O ile wiem, to nasze jaja były jedynemi, jakie udało się zdobyć w stanie nieuszkodzonym, bez pęknięć i rysów. Później przy nadarzonej sposobności przyjrzałem się tym jajom, które znajdują się w muzeum przyrodniczem w Londynie: wszystkie były potłuczone i posklejane mozolnie niby jakaś mozaika, w której brak poszczególnych części. Moje natomiast były całuteńkie i bez najmniejszych uszkodzeń. Chciałem je przekazać Dawsonom, gdy tylko powrócę. Naturalnie, że gniewałem się na tego bałwana, który opuścił owoc poszukiwań trwających wiele godzin, niby dlatego, że go jakiś owad ukąsił. Także powód do tłuczenia jaj zaginionych ptaków-olbrzymów. No, powiedziałem mu tyle, że poszło mu w piętę.

Człowiek z bliznami wyjął fajkę. Podsunąłem mu swój woreczek z tytoniem. W zamyśleniu napełnił sobie fajkę.

— A cóż stało się z innemi jajami? Czy udało się panu dowieść je do kraju? Bo już sobie nic a nic nie przypominam...

— Widzi pan w tem właśnie sęk i to jest najdziwniejszem w tej całej historii. Miałem jeszcze trzy jaja. Całkiem świeże. Ułożyliśmy je w łodzi a ja poszedłem do namiotu, aby ugotować sobie kawy. Obu swoich czarnych towarzyszy pozostawiłem u brzegu. Jeden z nich kłopotał się ranką, spowodowaną przez ukąszenie wspomnianego owadu, a drugi pomagał mu przy tem. Nawet przez myśl mi nie przyszło, że te draby zechcą wyzyskać osobliwe położenie moje i zaczną szukać owady. Jeden z nich, ukąszony przez owad, dostał ode mnie po karku za stłuczenie jaja i to doprowadziło go do wściekłości. Był to chłop, który zawsze wyróżniał się mściwością. Otóż ten mściwy murzyn podmówił przeciwko mnie swego towarzysza.

— Nawet już nie pamiętam jak się to wszystko stało. Siedziałem paląc fajkę i gotowałem wodę na maszynie spirytusowej, jaką na wyprawy podobne zabierałem z sobą zawsze. Przytem podziwiałem piękno błota przy zachodzącym słońcu.

Było całe czarne jak smoła i okrwawione czerwienią zachodzącego słońca. Widok był wspaniały. Za moczarem ziemia była falista, nad wzgórzami podnosiły się zasłony zwiewnej mgły a za niemi płonęło niebo, jakby jakiś olbrzymi pożar ogarnął cały świat. Tymczasem zaś o jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie dwa przekłete murzyny naradzały się z sobą, aby wsiąść do łodzi odjechać spokojnie i pozostawić mnie samego. A niegodziwcy ci wiedzieli, że mam żywności na trzy dni jedynie i wody niepełny dzbanek, a za mieszkanie namiot z cienkiej tkaniny. W pewnej chwili usłyszałem za sobą coś jakby szczykanie, a gdy się obejrzałem, moi mili murzyni siedzieli już w swej łódce i znajdowali się conajmniej jakie 20 metrów od brzegu. Odrazu zdałem sobie sprawę z tego, co zaszło. Strzelba moja znajdowała się w namiocie a nadto nie miałem kul, lecz jedynie śróty do strzelania ptaków. I o tem wiedzieli. Ale miałem mały rewolwer w kieszeni. Wydobyłem go, podczas gdy biegłem ku brzegowi.

— Dalej, zawracać mi natychmiast! — krzyknąłem wymachując rewolwerem.

Odpowiedzieli mi coś, czego nie mogłem zrozumieć, a murzyn, który stłukł jajko śmiał się na cały głos. Wycelowałem do drugiego, który sterował, strzeliłem i chybiłem. Rozległ się wesóły i złośliwy śmiech obu niegodziwców. Pomimo to nie dałem za wygrane, rozumiejąc, że muszę zachować spokój. Wycelowałem ponownie i tym razem widziałem jak murzyn podskoczył do góry, gdy dosięgła go kula. Już się nie śmiał. Przy trzecim strzale trafiłem go w głowę. Wypadł z łodzi pociągając za sobą ruchomy ster. Był to niezwykle szczęśliwy strzał jak na rewolwer. Bądź co bądź było to jakie pięćdziesiąt metrów od brzegu. Nie wiem, czy niegodziwca zabiłem, czy tylko raniłem, dość, że wypadłszy z łodzi, zanurzył się w wodzie natychmiast. Zacząłem wzywać drugiego draba, aby zawrócił, ale nawet słuchać nie chciał, tylko ukrył się na dnie swej marnej łódki. Zacząłem tedy strzelać i do niego, ale nie trafiłem go...

— Wyglądałem we własnych oczach jak ostatni głupiec — mogę pana zapewnić. Stałem oto na pustym wybrzeżu, za sobą nie miałem nic prócz moczaru, a przed sobą nic prócz gładzi morskiej, po której sunęła mała łódka murzyńska. Nadciągał dotkliwy chłód wieczorny. Zapewniam pana, że wszystkich Dawsonów i Jamrachów oraz wszystkie muzea z przyległościami przeklinałem wtedy szczerze i rzetelnie. Wrzeszczałem za uchodzącym murzynem tak głośno, aby powrócił, że po niedługiej chwili z gardła mego dobywał się już tylko jakiś pisk.

— Trudna rada, ale nie miałem wyboru i musiałem popłynąć za uciekającym murzynem, chociaż nie miałem najmniejszej pewności czy po drodze nie zostaną pożarty przez pierwszego lepszego rekina. Wyjąłem nóż składany, rozłożyłem go i włożyłem w usta, rozebrałem się i wlałem w wodę. Jak tylko znalazłem się w wodzie, straciłem łódkę z oczu, ale płynąłem w jej kierunku instynktownie. Byłem przekonany, że murzyn, który pozostał w łodzi nie będzie umiał sterować i łódź popłynie w tym samym kierunku, w jakim płynęła dotychczas. Niebawem ujrzałem tę marną łódkę na południowym zachodzie od siebie. Słońce już zaszło i na wodzie kładły się długie cienie nocy. Na niebie migotały gwiazdy. Płynąłem niby jaki pływak konkursowy, chociaż niebawem poczułem dotkliwy ból w nogach i rękach.

— Nareszcie dopłynąłem do łodzi, gdy już była pełna noc i całe niebo iskrzyło się gwiazdami. Kiedy już pociemniało dość dobrze, widziałem co chwila różne błyszczące przedmioty na morzu — pan wie, że morze świeci—, od czego nieraz kręciło mi się w głowie. Nie wiedziałem już, gdzie jest blask gwiazdy, a gdzie blask morza i nie zdawałem sobie sprawy z tego, czy płynę na plecach, czy na brzuchu. Łódka była czarna jak smoła, a faliste koliska pod nią migotały niby płynny ogień. Rzecz prosta, że nie od razu wlałem do łodzi, boć na-przód trzeba było przekonać się co porabiał mój zacny murzyn. Skulił się był w sobie i zdawał się siedzieć bez ruchu na dnie swej łódki. A tymczasem łódka pędzona falami, kręciła się wolniutko dokoła samej siebie, wykonywując coś w rodzaju wolnego walca. Płynąłem za łódką i oczekiwałem, że lada chwila obudzi się murzyn siedzący w niej. Potem zacząłem wlać do łódki, stale trzymając nóż w rękę i licząc się z możliwością napaści. Ale murzyn ani drgnął. Wreszcie siedziałem na przedzie małej łódeczki i płynąłem niesiony falami. W dole jaśniało morze, nade mną błyszczwały gwiazdy. Dokoła było cicho a ja wyczekiwałem bezustannie, że coś się stać musi.

— Po długim wyczekiwaniu krzyknąłem na murzyna, ale nie odpowiedział mi. Byłem zbyt strudzony, abym mógł być narażać się na spotkanie z nim w ciasnej łódce i dlatego trzymałem się zdala od niego na przeciwległym końcu łódki. Tak siedzieliśmy obok siebie, przedzieleni długością łódki. Zdaje mi się, że raz czy dwa razy zasnąłem. Gdy się rozwidniło, spostrzegłem, że mój towarzysz był trupem wzdętym i czerwono-sinym. Trzy znalezione jaja i kości leżały obok niego, butelka do wody, trochę kawy i sucharków zawiniętych w gazetę znajdowało się u jego nóg, a pod nim leżała flaszka cynowa na spirytus do palenia. Nie było steru i wogóle niczego takiego, czego możnaby było użyć zamiast tego przyrządu.

Postanowiłem tedy, że pozwolę się pędzić falom, dopóki ktoś mnie nie spotka i nie wyratuje z tej niemiłej sytuacji. Obejrzałem trupa, wyraziłem samemu sobie przypuszczenie, że przyczyną śmierci jest ukąszenie skorpiona lub podobnego jadowitego owadu i wrzuciłem zwłoki do morza.

— Potem łyknąłem trochę wody, zjadłem kilka biszkoptów i obejrzałem się dokoła. Człowiek tak wyczerpany, jak byłem wówczas ja, prawdopodobie nie widzi zbyt daleko. W każdym razie nie widziałem ani cienia Madagaskaru i wogóle jakiegokolwiek lądu. Widziałem żagiel płynący w południowo-zachodnim kierunku — był to szkuner — kadłubu jego wogóle nie dojrzałem. Słońce podnosiło się coraz wyżej i przypiekało coraz mocniej. Ach, cóż to była za udreka! Zdawało mi się, że mózg mój smazy się powoli. Próbowałem zanurzać głowę w wodzie, ale po pewnej chwili oczy moje padły na gazetę. Wyciągnąłem się w łódce jak długi i przykryłem twarz gazetą. Co to za cudowny wynalazek gazety! Jeszcze nigdy dotąd nie przeczytałem gruntownie ani jednej. Gdy się jednak jest samym, to się nawet nie wie, na jakie dziwaczne myśli wogóle wpaść można. Zdaje mi się, że tę starą pocziwą gazetę przeczytałem conajmniej dwadzieścia razy. Smoła, którą łódka była uszczelniona, topniała na skwarze słonecznym i rozlewała się po łódce.

— Przez dziesięć dni błąkałem się w taki sposób po morzu — rzekł człowiek z bliznami na twarzy. — W takim opowiadaniu jest to drobiazg, nieprawdaż. Jeden dzień podobny był do drugiego. Codziennie wieczorem i rano rozglądałem się uważnie dokoła; w ciągu dnia żar był wprost piekielny. Po pierwszych trzech dniach nie widziałem już i tego żaglowca, który mi się był ukazał, a te które widywałem przygodnie, nie dostrzegły mnie. Mniej więcej szóstej nocy mojego wędrowania przepłynął obok mnie w oddaleniu niecałej pół mili morskiej wielki statek pasażerski, jasno oświetlony i z lukami otwartymi. Wyglądał niby wielka mucha błyszcząca. Na pokładzie rozbrzmiewała muzyka. Zerwałem się na równe nogi i krzychałem ile tylko sił miałem — daremnie. Następnego dnia otworzyłem jedno ze znalezionych jaj Alpiorniosa, tłukąc kawałek za kawałkiem twardą skorupę, spróbowałem i ucieszyłem się szalenie, że można się niem pożywić. Smak jego był nieco ostry — nie mówię, że był przykry — ale było w nim coś takiego, jak w jajkach kaczek. Na jednym końcu żółtka był rodzaj białej plamy okrągłej, która mogła mieć jakieś sześć cali średnicy i była poprzecinana krwawymi nitkami, zaś w jednym miejscu miała żyłkę czy kanalik, którego znaczenia wówczas nie znałem. Nie miałem też najmniejszej możliwości kaprysić. Kawałek jajka z sucharkiem i łyk wody oto było całe moje pożywienie.

Prócz tego zułem kawę dla ożywienia się, gdy bywałem bardzo wyczerpany. Drugie jajko otworzyłem mniej więcej po dniach ośmiu i przestraszyłem się.

Człowiek z bliźnami zamilkł znowu. — Tak, tak — zaczął po chwili — jajko znajdowało się w stanie wylęgania. Wyobrażam sobie, że niełatwo będzie panu uwierzyć w to. Ja sam nie mogłem uwierzyć, aczkolwiek miałem do czynienia z faktem tak oczywistym, jak to, że z panem rozmawiam. Oto jajko ptaka zaginionego przed wiekami znajdowało się w ciemnym zimnym szlamie może trzysta lat, a teraz zaczynało się rozwijać. Ale pomyłka była wykluczona. Nie mogło ulegać najmniejszej wątpliwości, że w jajku powstawało życie nowego zwierzęcia, które miało ogromny łeb i serce w gardzieli, a całe otoczone było błonami. Co za przedziwna rzecz! Siedziałem oto w łodzi i patrzyłem, jak słońce wylęgało jajka największego z ptaków wymarłych, a wszystko to działo się na malutkiej łódce, błakającej się po bezkresnych wodach Oceanu Indyjskiego. Ach, gdybyż stary Dawson był o tem wiedział! Przecież to było warte czteroletniej pensji. Czy nie sądzi pan, że tak?

— Ale trudna rada. Musiałem te skarby zjeść aż do ostatnich resztek, zanim ukazało mi się wybrzeże. Niektóre części tego jaka były okropnie wstrętne w smaku. Trzecie jako pozostawiłem nietknięte. Spoglądałem na nie pod światło, ale skorupa jego była zbyt gruba, abym mógł być dostrzedz, co działo się wewnątrz. Zdawało mi się, że słyszę wewnątrz jajka tętniącą krew, ale mogło to być złudzeniem mego własnego słuchu, takim samem, jakiego doznaje się przy wsłuchiwaniu się w muszle.

— A potem dostałem się na wysepkę. Wyłoniła się ona nagle przy wschodzie słońca tuż obok mnie. Prąd pędził mnie ku niej i zbliżał do upragnionego celu, ale kiedy znalazłem się o jakie pół mili morskiej od wyspy, prąd zmienił raptownie kierunek, tak że musiałem użyć ogromnych wysiłków i wiosłować przy pomocy skorup jaj Aepiornisa, aby dotrzeć do brzegu. Lecz nareszcie dostałem się na wyspę. Była to sobie zwykła wysepka koralowa, mająca powierzchni jakie cztery mile. Kilka drzew, źródło i laguna pełna ryb — oto wszystko. Jajko przeniosłem na wyspę i ułożyłem je na miejscu suchem i ciepłym a zarazem zabezpieczonem przed falami. Staralem się, aby jajko miało możliwość wylęgu. Potem wciągnąłem łódkę na brzeg i udałem się w głąb wysepki, aby ją zbadać. Trudno sobie wyobrazić, jak straszliwie nudną jest taka mała wysepka! Jak tylko znalazłem źródło, zrozumiałem, że więcej nic na tej wyspie nie znajdę, co zasługiwałoby na jakieś specjalne zainteresowanie. Będąc chłopcem wyobrażałem sobie, że nic na świecie nie może być równie interesującym, jak taka przygoda

Robinsonowska. W rzeczywistości sprawa taka jest daleko nudniejsza, niż w opowieści. Włoczyłem się z miejsca na miejsce, szukałem sobie pożywienia i rozmyślałem przy tem o różnych rzeczach, ale zapewniam pana, że byłem śmiertelnie znudzony jeszcze przed upływem dnia pierwszego. W każdym razie miałem szczęście: tegoż samego dnia po wylądowaniu pogoda zmieniła się raptownie. Od północy nadciągnęła burza, która nie ominęła i mojej wysepki. W nocy lało jak z cebra a wicher wył jak wściekły. Niewiele brakowało, a woda byłaby mi uniosła moją łódkę.

— Wyciągnąłem ją dalej od brzegu i ułożyłem się pod nią do snu. Spałem tedy na piasku pod łódką, która tworzyła strzechę nade mną. Przypominam sobie, że deszcz walił tak potężnie w dno łódki, jakby kto rzucał na nią z wielkim impetem tysiące drobnych krzemieni. Jednocześnie woda zbliżała się coraz bliżej. Śniło mi się właśnie o mieście Antananariwie i zacząłem wołać na moją tameczną służącą, aby się zapytać, co to się stało właściwie. Szukałem też zapalek, które zawsze kładłem obok siebie na krzeselku stojącym przy łóżku. Ale potem opamiętałem się gdzie jestem. Jasne fale zbliżały się do mnie, jak gdyby chciały mnie pochłonać, ale noc była taka ciemna, że nawet własnej ręki nie można było dojrzeć. Wicher wył jak szalona. Chmury zdawały się leżeć mi na głowie, jak gdyby całe niebo zapadało się powoli, a deszcz lał tak, jak gdyby wszystkie upusty niebieskie miały zostać całkowicie opróżnione. Duża i szybka fala przyczołgała się do mnie sycząc niby żmija. Zerwałem się na równe nogi i zabrałem się do ucieczki, ale wnet przypomniała mi się łódka i powróciłem, aby ją zabezpieczyć. Lecz łódki już nie było. Potem przypomniało mi się jajko Aepiornisa i udałem się na jego poszukiwanie. Było zabezpieczone przed najwyższymi falami i można było nie obawiać się o nie. Usadowiłem się obok niego i głaskałem je niby dobrego miłego towarzysza. Ach, ale byłaż to noc straszliwa!

— Przed świtem burza minęła. Na niebie nie było już nawet śladu chmury, gdy zaczęło świtać. Po całym brzegu rozsiane były kawałki desek, czyli szczątki mej łódki rozbitej formalnie na drzazgi. Miałem w każdym razie trochę roboty. Przy pomocy tych szczątków zbudowałem sobie między dwoma drzewami stojącymi tuż przy sobie, rodzaj szałas. I właśnie tego samego dnia wylęгло się jaje.

— Tak, wylęгло się w chwili, gdy oparłem na niem głowę i spałem. Usłyszałem jakiś niezwykły dźwięk, coś mnie pchnęło, patrzę... Jeden koniec jajka był przekłuty i przez otwór w skorupie wychylał się dziwaczny szary łeb. Oho — pomyślałem

sobie, trzeba się ładnie przywitać z takim ptaszkiem. A ptaszek tymczasem wylazł sobie ze skorupy.

— Zrazu było to sobie miłutkie pisklątko, wielkości mniej więcej kury i we wszystkim przypominało inne młode ptaki, tylko że było większe. Upierzenie jego było najpierw brudnawo-brunatne a na niem było coś w rodzaju cienkiej skorupy, która niebawem zeszła. Zresztą nie było to pierze, ale raczej buszek podobny do włosów. Nie umiem panu wcale powiedzieć jak bardzo ucieszyłem się, gdy ujrzałem to stworzenie. Proszę mi wierzyć, że Robinson Kruzo nie dosyć wnikliwie opowiada o swojej samotności. W każdym razie było to bardzo ciekawe towarzystwo. Spoglądał sobie na mnie ten ptaszek, mrużąc jedno oko, tak jak to robi poczciwa kokoszka, gdy się czemuś przygląda, piszcząc, jak piszczą wszystkie pisklęta i zaczął dziobać piasek, jak gdyby fakt, że przyszedł on na świat o jakie czterysta lat zapóźno, nie znaczył nic a nic. Bardzo mi miło — rzekłem do niego — poznać się z tobą, mój miły Piątaszku! Bo widzi pan, jak tylko spostrzegłem, że jaje zaczyna się rozwijać, postanowiłem nazwać pisklę Piątaszkiem za przykładem Robinsona Kruzo. Wyżywienie tego stworzenia sprawiało mi sporo kłopotu. Zaraz na wstępie dałem mu porządny kawał ryby. Połknął tę porcję, otworzył dziób i czekał na dalszy ciąg. Cieszyło mnie to bardzo, gdyż w tych warunkach, w jakich się znajdowaliśmy, byłbym musiał sam zjeść moje pisklę, gdyby ono było okazało nadmierną kapryśność w wyborze pożywienia.

— Nie wyobraża sobie pan wcale, jakim interesującym stworzeniem jest takie pisklątko Aepiornisa. Od samego początku biegał za mną ten miły ptaszek jak piesek, stawał obok mnie nad laguną, podczas gdy łowiłem ryby i brał sobie ze wszystkiego swoją część. Zachowywał się przy tem bardzo roztropnie. Były tam naprzykład takie zielone, brodawkowate i oślizłe zwierzątka, które wzbudzały we mnie zawsze obrzydzenie, chociaż przypominały małe kiszone ogórki. Pewnego razu moje pisklątko połknęło takie zwierzątko, ale musiało je zwrócić i odtąd towarzysz mej samotności nawet nie spojrzął na te obrzydliwe stworzonka.

— A jak on rósł! Poprostu widziało się, jak rośnie. Ponieważ ceniłem sobie swoją niezależność od czyjegokolwiek towarzystwa, przeto spokojne zachowanie się tego stworzenia i jego powściągliwość podobały mi się nadzwyczajnie. Niemal przez dwa lata byliśmy na naszej wyspie tacy szczęśliwi, jak to w naszych warunkach było wogóle możliwe. Kłopotów zawodowych nie miałem. Wiedziałem, że pensja moja płynie i spoczywa w kasie Dawsonów. Od czasu do czasu widywaliśmy żaglowce, ale do nas nie zbliżył się żaden. Dla zabicia czasu ozdabiałem całą wyspę różnemi ornamentami z muszli i gwiazd

morskich, a także układałem napisy „Wyspa Aepiornisa”, mniej więcej w taki sposób, jak to się dzieje w pobliżu prowincjonalnych stacyjek kolejowych. Prócz tego dokonywałem różnych obliczeń matematycznych i robiłem różne rysunki. Często leżałem sobie i przyglądałem się swemu miłemu ptaszekowi, jak laził sobie dokoła mnie i rósł a rósł. Myślałem przytem, że możnaby dorobić się majątku, gdyby można było wystawić takie stworzenie i pokazywać je ciekawym za pieniądze. Naturalnie, że przychodziło mi wtedy na myśl, czy wogóle wydostanę się kiedykolwiek z tej wyspy, na którą rzuciły mnie losy. Po wypieszeniu ptak mój zaczynał być ładny: na łbie pojawił się mu grzebień, na szyi miał coś w rodzaju niebieskiego kołnierza, a z tyłu miał cały pęk zielonych piór. Czasem myślałem także, czy Dawsonowie mieliby prawo do tego ptaka, czy nie. Podczas niepogody i wichur leżeliśmy spokojnie obok siebie w szałasie, który zbudowałem był ze szczątków łódki, a ja opowiadałem mu rozmaite bajeczki o swoim kraju i bliskich mi ludziach. A gdy wichura mijała, włóczyliśmy się po wyspie i rozglądaliśmy się, czy fale nie przypędziły nam czego. Była to istna sielanka, lub coś w tym rodzaju. Gdybym był miał choć trochę tytoniu, to byłoby mi tak dobrze, jak w raj.

— Było to mniej więcej pod koniec drugiego roku, gdy w spokojny dotychczasowy nasz stosunek zaczęły się wkradać niemiłe dysonanse. Mój Piątaszek miał wtedy miej więcej czternaście stóp wysokości, szeroki duży łeb zakończony dziobem długim i szerokim niby ostrą motyka, oraz dwoje ogromnych oczu, otoczonych żółtymi obwódkami. Oczy te znajdowały się jedno obok drugiego, jak oczy człowieka, a nie jak oczy ptaków, znajdujące się po bokach głowy. Upierzenie jego było wspaniałe, ale nie było podobne do upierzenia strusia, lecz przypominało raczej kazuara, o ile chodzi o jego barwę i delikatność. Otóż ten ptaszek raz pewnego zaczął mi się stawiać, zadzierać łeb zgoła buńczucznie i wogóle okazywał mi wszystkie możliwe znamiona bardzo złego temperamentu.

— Nadeszły czasy, w których nie powodziło mi się podczas połowu ryb i mój Aepiornis zaczął biegać dokoła mnie z wyrazem zamyślenia i niepokoju. Zaraz myślałem, że musiał najeść się tych oślizłych, brodawkowatych stworzonek lub czegoś podobnego. Ale w rzeczywistości trapiło go tylko wielkie niezadowolenie i gniew. Był głodny, ale i ja nie byłem syty, więc gdy wreszcie złowiłem rybę, chciałem ją spożyć. Owego poranka ani ja ani on nie byliśmy w różowym humorze. Mój Aepiornis schwytał rybę dziobem, a ja pogniewany tem, trzepnąłem go w głowę, aby mi oddał moją zdobycz. Ale wtedy ptaszek mój rzucił się na mnie z takim zacietrzewieniem, że aż mi się ciepło zrobiło.



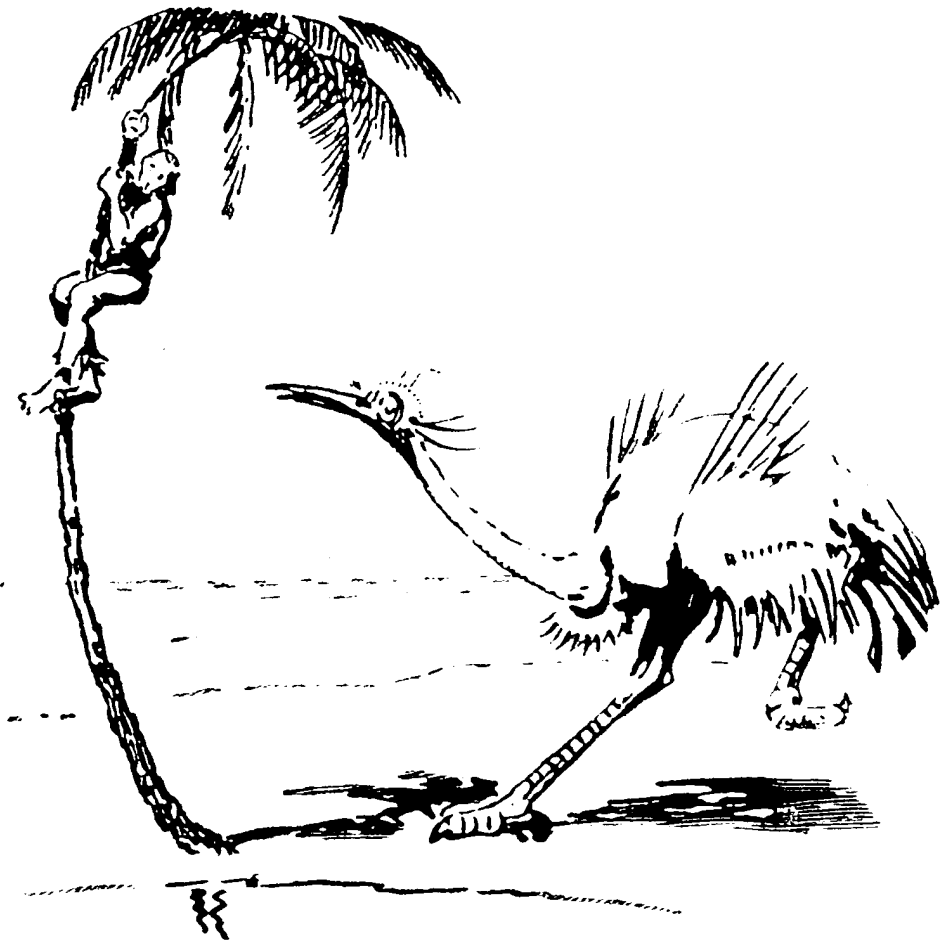
— O, widzi pan, tutaj dziobnął mnie w twarz — opowiadający wskazał mi przy tem swoje blizny.— No, a potem zaczęła się awantura na dobre. Każde dziobnięcie było takie mocne, jak kopnięcie konia. Zerwałem się, a ponieważ wiedziałem, że mogę doczekać się rzeczy jeszcze lepszych, wziąłem nogi za pas i zacząłem uciekać, przyczem rękoma osłaniałem głowę. Mój prześladowca pędził za mną na swoich długich łapach szybciej od konia i potwornym swoim dziobem tłukł mnie podczas tego poś ighu bezustannie w potylice. Dobiegłem do laguny i natychmiast wlałem w wodę aż po szyję. Gdy dobiegł do brzoza, przystanął i stropił się — na żywy świat nie ryzykował on nigdy zamoczyć nogi. Potem krzyczał tak jakoś jak krzyczą pawie, tylko jeszcze mniej melodyjnie. Wreszcie zaczął sobie spacerować po brzoza. Muszę się przyznać, że wydawałem się sobie ogromnie malutkim, gdy przyglądałem się temu miłemu kopalnemu stworzeniu. Głowę i twarz miałem okrwawioną, a całe ciało moje było boleśnie poranione.

— Postanowiłem popłynąć za lagunę i pozostawić ptaka przez czas niejaki samego, aby miał możność powrócić do równowagi. Wdrapałem się na najwyższą palmę i siedząc na niej zastanawiałem się nad swoją sytuacją. Zdaje mi się, że w ciągu całego mego życia nie czułem się tak sponiewierany, jak wówczas. Coż to była za brutalna niewdzięczność w takim zwierzęciu! Byłem dla niego przecież czemś więcej niż bratem. Wyhodowałem go, pielęgnowałem starannie. I oto miałem do czynienia z takim wielkim, dawnym, niezdarnym ptakiem. A ja — istota ludzka — dziedzic tysiącletniej kultury i kto wie czego jeszcze, musiałem kapitulować.

— Sądziłem, że po jakimś czasie i mój Aepiornis zacznie spoglądać na nasze sprawy w taki spokojny sposób, że pojednanie stanie się możliwym. Zdawało mi się, że jeśli zdołam złowić kilka ładnych ryb i zbliżę się do niego jakby nigdy nic, to wszystko będzie zupełnie dobrze. Oczekiwało mnie miłe rozczarowanie; miałem się jeszcze przekonać o tem, jakim mściwym i nieprzejednanym może być taki ptak przedpotcpowy. I to poprostu z właściwej mu złośliwości.

— Nie będę panu opowiadał o niezliczonych usiłowaniach pojednania mego rozwścieczonego ptaka. Poprostu nie mogę o tem mówić. Jeszcze dzisiaj muszę się rumienić, gdy pomyślę o wszystkich upokorzeniach, jakim z powodu tego pierzastego potwora musiałem się poddać. Próbowałem gwałt odpierać gwałtem i rzucałem weń kawałkami koralowiny, ale ten potwór pożerał je tylko. Rzuciłem weń moim otwartym nożem i byłbym go stracił napróżno. Na szczęście nóż ten okazał się zbyt wielkim, aby mógł być zostać pożarty. Staralem się wygłodzić tego ptaka i przestałem łowić ryb, ale podczas

odpływu morza wygrzebywał sobie z piasku różne robaczki i żywił się w taki sposób. Większą część dnia spędzałem w wodzie, siedząc w niej po szyję, a resztę czasu siedziałem na jakiej wysokiej palmie. Jedna z palm, która posłużyła mi kiedyś za schronienie, nie była dość wysoka i gdy Aepiornis dorwał się do mnie, to podziobał mi całe łydki. Życie moje stało się poprostu nieznośnem. Nie wiem, czy próbował pan kiedy spać na palmie. Miewałem podczas takich noclegów



najpotworniejsze sny. A przytem pomyśl pan jeszcze, co za wstyd uciekać przed ptakiem! Z jednej strony ten zaginiony potwór błakający się po wyspie niby jakiś niełaskawy książę, z drugiej strony ja, pan stworzenia, któremu nie wolno było opuścić nogi na ziemię. Nieraz płakałem z gniewu i zmęczenia, albo krzychałem na cały głos, że nie mam najmniejszej ochoty dać się szykanować takiemu głupiemu anachronizmowi, zabłąkanemu na pustą wyspę. Mówiłem mu, żeby sobie znalazł żeglarza ze swoich własnych czasów i dokuczał mu, ale ten potwór nie przestawał obrabiać mnie dziobem niby młotem. Ej, był to potwór olbrzymi ten ptaszek! Nic nie miał prócz tych długich łap i szyi z ogromnym łbem i dziobem.

— Jak długo trwało to wszystko, nie umiem sobie zdać sprawy. Byłbym to obrzydliwe zwierzę dawno zabił, gdybym tylko był wiedział, jak zabrać się do tego. Nareszcie znalazłem sposób pozbycia się swego dręczyciela. Użyłem do tego sposobu łowców południowo-amerykańskich. Powiązałem wszystkie swoje postronki, jakie tylko posiadałem — z trawy morskiej i z podobnego materiału — i posiadałem rodzaj długiego sznura długości jakich dwunastu metrów. Na końcach tego sznura przywiązałem dwa kawałki koralowiny. Do zrobienia tego wszystkiego potrzebowałem bardzo dużo czasu, bowiem od pracy musiałem ciągle uciekać na lagunę albo na palmę. Nareszcie, gdy wszystko było gotowe, rozmachnąłem się i z całej siły rzuciłem swój sznur w Aepiornisa. Za pierwszym razem chybiłem, ale za drugim razem sznur omotał się dokoła nóg ptaka i powalił go na ziemię. Ja stałem tymczasem po pas w wodzie laguny. Ale jak tylko spostrzegłem, że mój przeciwnik leży na ziemi spętany, skoczyłem ku niemu i zacząłem przeryzać mu gardło swoim nożem.

— Jeszcze dzisiaj wspomnienie o tem jest dla mnie bardzo przykrem. Wydałem się sobie mordercą, jakkolwiek opanowany był straszliwym gniewem. Ach, jakież to było uczucie, gdy musiałem patrzeć na jego nogi drgające w przedśmiertnym kurczu i na tę krew, która wsiąkała w piasek wysepki! Było to naprawdę takie tragiczne, że nie umiałbym oddać tych uczuć, jakich wówczas doznałem.

— Razem z tą tragedją samotność zwała się na mnie niby straszliwe przekleństwo. Jeden Bóg wie, jak strasznie tęskniłem za tym ptakiem, którego zabiłem! Siedziałem nad jego zwłokami i opłakiwałem go, a gdy oczy moje biegły w dal przez wyspę, to ogarniało mnie uczucie dziwnego, śmiertelnego chłodu w tem straszliwym osamotnieniu. Musiałem myśleć o tem, jaki to był wesoły i żwawy ptak, jak się wyklął i jak zbytkowaliśmy z sobą, zanim przyjaźń nasza zaczęła się mącić, aby wreszcie skończyć się tak tragicznie. Myślałem też, że gdybym go był tylko zranił, to stopniowo byłbym może odzyskał jego przyjaźń dzięki troskliwej opiece, jaką byłbym go otoczył. Gdybym był mógł czemkolwiek rozkopać koralowinę, to byłbym go pogrzebał, jak kogoś bliskiego. Czasem zdawało mi się, że była to istota we wszystkim podobna do człowieka. Oczywiście, że w warunkach, jakie się wytworzyły, nie mogłem nawet myśleć o tem, aby spożyć jego mięso. Wrzuciłem tedy zwłoki tego ptaka do wody laguny, a małe rybki obdziobały mięso z kości bardzo ładnie. Nawet piór jego nie zachowałem sobie. A potem pewnego pięknego poranku przybył jakiś bogaty człowiek na jachcie, aby się prze-

konać, czy robią jeszcze poszukiwania na Madagaskarze. No i znalazł mnie na tej małej wysepce.

— Ratunek ten przyszedł w samą porę. Byłem już ciężko chory skutkiem osamotnienia i nie wiedziałem tylko, czy mam się rzucić w morze, czy też szukać końca mej udreki na wysepce.

— Kości tego ptaka sprzedałem następnie pewnemu handlarzowi z okolic British Museum, imieniem Winslow on zaś zapewnił mnie, że odprzedał je staremu Haversowi. Otóż Havers zdaje się nie zwrócił nawet uwagi na to, że te kości są takie wyjątkowo wielkie i dlatego dostrzeżono tę osobliwość dopiero po jego śmierci. Nazwano je... Jakże to je nazwano?...

— *Aepiornis vastus* — rzekłem. — Dziwny zbieg okoliczności; niedawno temu jeden z moich przyjaciół mówił właśnie o tem. Kiedy znaleziono *Aepiornisa*, którego piszczelę miały metr długości, wyobrażono sobie, że jest to największy okaz tego gatunku i nazwano go *Aepiornis maximus*. Potem ktoś znalazł kość piszczelową, mającą długości cztery stopy i sześć cali i tego nazwano *Aepiornis Titan*. Wreszcie, kiedy stary Havers umarł, znaleziono pańskiego *Aepiornisa*, którego nazwano *vastus* i wreszcie pojawił się jeszcze jakiś okaz *vastissimus*.

— Tak o tem opowiadał mi Winslow — rzekł człowiek z bliznami. — Dodał też, że jeśli ktoś znajdzie jeszcze jednego *Aepiornisa*, to który z uczonych panów wścieknie się ze złości. W każdym razie, tak czy owak, zdarzenie moje było bardzo niezwykle.